

Czytanie (o) PRL-u. Z Ryszardem Ćwirlejem rozmawiają Justyna Tuszyńska i Dariusz Brzostek

Reading (about) The Polish People's Republic:
Justyna Tuszyńska and Dariusz Brzostek
converse with Ryszard Ćwirlej

DOI: 10.12775/LL.3.2021.007 | CC BY-ND 4.0

RYSZARD ĆWIRLEJ: sociologist, journalist, and writer; former Polish Television reporter and editor-in-chief of the newscast *Telekurier*. A lecturer at the Faculty of Political Science and Journalism, Adam Mickiewicz University in Poznań. An author of numerous detective novels and an inventor of Polish “neo-militia literature”, a literary genre depicting the everyday life of the militiamen in the PRL (The Polish People's Republic).

KEYWORDS: detective fiction, neo-militia literature, memory, communism, The Polish People's Republic

JT i DB: Chcielibyśmy porozmawiać o tym wszystkim, co wiąże się w pracy pisarza – twórcy powieści kryminalnych osadzonych w realiach Polski Ludowej – z pamięcią o tamtym świecie i swoistą nostalgią za pewnymi jego przejawami: społecznymi, kulturalnymi oraz osobistymi, będącymi udziałem autora i czytelników jego książek. Ale zacznijmy może w nieco mniej oczywisty sposób. Otóż w PRL-u popularnością cieszyły się powieści kryminalne pisane przez polskich autorów pod pseudonimami i osadzone w realiach zachodnich (Joe Alex i jego angielski detektyw, Waldemar Łysiak i jego *Perfidia*, ale także spektakle Teatru Sensacji „Kobra”), odbierane wówczas w sposób nieco egzotycyzujący jako opowieści „z tamtej strony”. Czy można ten sposób czytania porównać z dzisiejszą lekturą powieści neomilicyjnej dokonywaną przez czytelników nie posiadających doświadczenia PRL-u?

RĆ: To jest ciekawe spostrzeżenie, gdyż ja sam bardzo często powtarzam na spotkaniach autorskich, że gdy rozmawiam z czytelnikami na temat odbioru moich kryminałów neomilicyjnych, to dostrzegam dwa rodzaje podejścia do tych powieści – bardzo silnie związane z wiekiem odbiorców. Jeden to oczywiście odbiór nostalgiczny, który jest dość oczywisty, bo wszyscy lubimy wracać do tego, co minęło – po prostu dlatego, że kiedyś byliśmy młodszy i niezależnie od tego, czy był to taki czy inny system polityczny, to wraca się do młodości, do lat bez troski. Drugi sposób odbioru to jest lektura ludzi młodych, dla których wyprawa do czasów PRL-u nie ma w sobie żadnej nostalgii, żadnego czaru, który wciąga do tego świata ich rodziców czy dziadków, ale jest to podróż taka jak wyprawa na Marsa, na zupełnie inną planetę. I równie dobrze mogłoby się to nazywać „peerelowskie *science fiction*”, bo dla nich rzeczywistość PRL-u jest czymś nieprawdopodobnym i niewyobrażalnym, zaczynając od najprostszych skojarzeń w rodzaju: „Dlaczego ten facet biega po całym mieście, szukając działającej budki telefonicznej? Czy nie może wyciągnąć telefonu i zadzwonić?”. To są rzeczy postrzegane dziś jako nieprawdopodobne. Ale nawet gdy ten młodszy czytelnik zagłębi się w ów dziwny świat Polski Ludowej i zaczyna go powoli rozumieć, to pewne tamtejsze absurdy pozostają dla niego niewyobrażalne, ponieważ nie potrafi on zrozumieć, z jakiego powodu na przykład ktoś oddaje pończochy do repasacji i co to w ogóle jest repasacja. Albo po co w jednorazowej zapalniczce robi się zaworki czy też dlaczego naprawia się parasol, który przecież wystarczy wyrzucić, tak samo jak zużytą zapalniczkę czy podarte pończochy. Dla nas – osób wychowujących się w PRL-u – są to rzeczy, na myśl o których możemy się tylko uśmiechnąć, wspominając, jak staliśmy w kolejce po papier toaletowy, natomiast młody czytelnik pomyśli sobie wpierw: „Dlaczego oni w ogóle stoją w kolejce po papier toaletowy, niech pójdą do innego sklepu i tam kupią”. Jest to zatem dla tych odbiorców wyprawa do innej rzeczywistości, którą trzeba im objaśnić i której trzeba ich nauczyć, ponieważ nie robi tego szkoła, która często w ogóle zapomina, że jest coś takiego jak PRL. A przeważnie w ogóle się do niego nie dochodzi, kończąc nauczanie na II wojnie światowej, bo później trzeba się śpieszyć przed maturą i zdążyć z powtórkami. Dlatego często zadaję moim studentom prace na temat stanu wojennego i oni wówczas z pewnym zaskoczeniem odkrywają tę rzeczywistość, zwłaszcza gdy pozwalam im w pracowni radiowej wykorzystać opowieści własnych rodziców i dziadków, będących nośnikami rodzinnej historii tego czasu. Wówczas młodzi ludzie odkrywają, że ich rodzice byli świadkami historii: „Babcia nosiła bibułę?”, „Moja mama przechodziła obok czołgu jadącego ulicą?” lub po prostu „Nie oglądała *Teleranka*?”. Dla nich PRL jest epoką, będącą krainą absurdu, w której ludzie żyją nie wiadomo jak, po co i czym się zajmują (stanem w kolejkach, „załatwianiem” benzyny itd.). Jest to więc rzeczywiście wyprawa przypominająca niegdysiejsze literackie wizyty w krajach umownego Zachodu czy Ameryki Łacińskiej o dziwnych nazwach – wymyślanych choćby przez Łysiaka po to, aby tam, czyli nigdzie, umieścić akcję swoich opowieści.

JT i DB: Czy jednak ta świadomość przekłada się na praktykę pisarską? Bo jeśli Jerzy Edigey pisał powieść milicyjną w PRL-u, to w oczywisty sposób zakładał u swoich czytelników znajomość współczesnym im realiów. Czy kiedy pisze się o tym dziś, trzeba po prostu wprowadzić taką postać czy wątek, który będzie objaśniał wszystkie te rzeczy, o których dotąd mówiliśmy?

RĆ: Tak, jest to konieczne i, co więcej, zmienia się to z upływem czasu. Dziś siedząc przed komputerem, uświadomiłem sobie, że piszę już 20. powieść, a dziesiątą peerelowską. I gdybym cofnął się do chwili, w której pisałem pierwszą z nich, to mogę powiedzieć z całą pewnością, że wówczas rzeczywistość ta nie wymagała objaśniania. Zarówno dla mnie, jak i dla moich czytelników w 2005 r. PRL był tak nieodległą rzeczywistością, że nie trzeba było wyjaśniać niczego. Wtedy pisałem więc wprost, opowiadałem historie i przypominałem te czasy, wyszukując oczywiście absurdy, które były według mnie najciekawsze i o których powoli zapominaliśmy. Dziś wyszukiwanie absurdów jest nieistotne, gdyż właściwie wszystko, co wiąże się z tym czasem jest absurdalne i nieprawdopodobnie głupie, bo cały system był taki. I teraz już niemal bezwiednie zaznaczam we własnym tekście miejsca, w których należy dać przypis z wyjaśnieniem, że np. PZPR to Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, bo nie wszyscy o tym wiedzą. Obecnie moje kryminały neomilicyjne to po prostu powieści historyczne. Podczas gdy o moich pierwszych powieściach Agata Koss-Dybała powiedziała kiedyś, że są to kryminały pół-retro. Pół – bo dla niektórych czytelników są zupełnie retro, podczas gdy dla innych tylko połowicznie. Dziś są to z pewnością kryminały retro i choć prywatnie bardzo mi przykro z tego powodu – mogę się jako autor zaliczać do twórców tego gatunku.

JT i DB: Niektóre z peerelowskich pojęć cechuje jednak nader długie trwanie, wszak jeszcze całkiem niedawno mówiono dość powszechnie CPN na dowolną stację benzynową.

RĆ: Oczywiście, choć i to powoli znika ze społecznej pamięci. A jak opowiadała Magda Umer, całkiem niedawno podczas warsztatów piosenkarskich jedna z młodych wokalistek śpiewając balladę Osieckiej o pewnej gminnej spółdzielni, artykułowała donośnie nie GS lecz Dzi Es. To jest rzeczywistość, która już gdzieś młodym ludziom umknęła.

JT i DB: Zastanawiam się, jak w takim kontekście mogłaby wyglądać interpretacja pamiętnej piosenki Jacka Kleyffa *Ballada o niespełnionej miłości w magazynie kółka rolniczego*, gdzie kochankowie spotykają się w budynku z suporexu krytego eternitem, by uprawiać miłość na workach z nawozem sztucznym, osłonięci przed światem połami sukna przydialnego.

RĆ: To już publikacja dla Biblioteki Narodowej z całym aparatem przypisów, bo bez nich nic nie będziemy w stanie zrobić. Sam zaczynam wyjaśniać naj-

prostsze pojęcia, choć ten PZPR wydaje się jednak dość oczywisty, podobnie jak NRD, które również obdarzam przypisem.

JT i DB: Rozmawiamy jednak o nostalgii, która jest tu nieco kłopotliwa, bo sam PRL jako obiekt tej nostalgii wydaje dość się problematyczny. Za czym więc tęsknimy, do czego w nim z żalem wracamy? Bo przecież wracamy nie tylko w powieściach neomilicyjnych, ale choćby w niezliczonych powtórkach serialu *07 zgłoś się*, mającego w Polsce status bez wątpienia kultowy. Może jest więc tak, że nie tyle tęsknimy za tą dość siermiężną epoką pełną absurdów, lecz za tekstami kultury, które ona zrodziła?

RC: Myślę, że jest to ewidentnie tęsknota za obrazem tego świata, który gdzieś tam, przez lata zdążył się w nas ukształtować. Przede wszystkim jednak trzeba oddzielić dwie warstwy poznawcze. Pierwszą jest PRL zinstytucjonalizowany, czyli państwo i jego instytucje, tworzące także aparat opresji z milicją, SB i ZOMO. I to jest kraj, do którego nie ma co wracać i który nikogo nie cieszy, tak jak nikogo nie ucieszyłoby dziś spotkanie z towarzyszem Szmaciakiem, mówiącym: „Wiecie, rozumiecie, towarzyszu, zróbcie to tak, jak trzeba to zrobić, odwołuję się do waszej obywatelskiej postawy...”. Do tego PRL-u raczej nie chcemy wracać, chyba że ktoś jest upadłym działaczem partyjnym i nic więcej w życiu już mu się nie udało. Natomiast pozostali, którzy lubią wracać do tamtych czasów, np. na kartach powieści neomilicyjnych, nie robią tego z tęsknoty za dzinsami z Pewexu, tylko za uczuciem euforii w chwili, kiedy te spodnie założyło się po raz pierwszy i poszło się w nich na dyskotekę. I to jest moim zdaniem powód, dla którego lubimy wracać do PRL-u. Trzeba także pamiętać, że ten kraj taki po prostu był – nigdy nie mieliśmy możliwości żyć w innym PRL-u, tylko w tym, który został nam dany. Zatem oswajaliśmy go i przyzwyczajaliśmy się do niego, urządzaliśmy się – jak mówił Kisiel – „w dupie”, ale nie mieliśmy możliwości, by urządzić się gdzie indziej. Wspominamy więc to, co było najfajniejsze: wyjście z dziewczyną do kina, pierwsze piwo w knajpie, kolonie nad morzem, wyjazdy z plecakiem nad jezioro itd. Wybieramy to, co chcemy wspominać. Gdybyśmy w owym czasie żyli w Zachodnich Niemczech, w ogóle nie byłoby tego dualizmu, chyba że bylibyśmy członkami lewackich bojówek uważających każde państwo za opresyjne... Zakładam więc, że np. Andreas Baader czy Ulrike Meinhof mogliby powiedzieć coś innego na temat tamtego ustroju, natomiast w owym czasie z pewnością nie były to nasze problemy.

JT i DB: O powieściach milicyjnych tamtego czasu mówi się często, że należą do nurtu realistycznego, bo kryminał w ogóle zakłada realizm przedstawiania świata, postaci etc. Ale pamiętam również, że kiedyś mieliśmy okazję porozmawiać o cyklu komiksów *Kapitan Żbik* i jednym z jego odcinków, w którym występował gumowy batyskaf ukryty w jeziorze przez zachodnich szpiegów. Chcielibyśmy zapytać teraz nie autora lecz czytelnika milicyjnych kryminałów, czy były to na płaszczyźnie społeczno-obyczajowej utwory realistyczne, czy

też, abstrahując już od propagandowego wizerunku Milicji Obywatelskiej, raczej życzeniowe fantazje na temat idealnego kraju socjalistycznego, w którym, owszem, zdarzają się czasami przestępstwa?

RC: Wciąż czytam dużo tych książek, mam nawet właśnie na biurku jedną z nich - Jan Andrzej Kaczmarczyk, *Gra bez ryzyka* - ta jest całkiem realistyczna, także dlatego, że w centrum nie znajduje się wcale zagadka kryminalna - jak w klasycznej opowieści detektywistycznej - lecz właśnie praca milicjanta. Tu zatem od razu znamy przestępcę, po prostu wiemy, kto te samochody kradnie, ale wiemy także, którzy milicjanci radzą sobie z tym problemem, a którzy nie... I wiemy, co należy zrobić, aby sobie z nim poradzić, widzimy bowiem właśnie pracę obu stron konfliktu: Milicji Obywatelskiej oraz złodziei samochodów. Ci drudzy są oczywiście skazani na porażkę, bo z systemem milicyjnym w tej powieści po prostu nie da się wygrać. Zatem zapotrzebowanie władz jest w tym czasie takie, aby pokazywać aparat ścigania bezwzględnie dochodzący do prawdy, żmudne śledztwa itd., co realizuje np. Kaczmarczyk. Jest tu zatem propaganda wpisana w samą opowieść, czytelna i widoczna dla kogoś, kto wie, że ona tam tkwi. Ale czytelnik szukający po prostu rozrywkowej lektury otrzymuje raczej obraz pracy milicji, działającej w określonych warunkach, w których bandyci kradną samochody, biją się ze sobą po pyskach, tworząc półświatek, w który zanurza się autor. I w tym wymiarze ta powieść okazuje się całkiem realistyczna, pokazując kawałek miasta (akcja rozgrywa się w Warszawie). A takich właśnie kryminałów było całkiem sporo. Wydaje mi się natomiast, że w każdej z tych książek pisanych dla serii *Z jamnikiem* czy *Klub srebrnego klucza* istotne było to, żeby pokazać nieskazitelnie inteligentnego milicjanta, który bez większych problemów, czy to alkoholowych, czy rodzinnych, potrafi sobie radzić z rzeczywistością. Widać to i u Edigeya, i u Zeydlera-Zborowskiego, a zwłaszcza u Heleny Sekuły, gdzie ci milicjanci nie są może Holmesami, ale z pewnością ludźmi obdarzonymi ponadprzeciętną inteligencją, a przede wszystkim intuicją śledczą. I jeszcze jedna istotna rzecz: ważne, żeby ten człowiek nie był oderwany od rzeczywistości, lecz był osobą mocno zakorzenioną w PRL-u, żeby np. palił papierosy „Popularne” albo „Sporty”, żeby od czasu do czasu przeklął i żeby nie wylewał za kołnierz i potrafił sobie wieczorem wypić jedno piwko do kolacji. Czyli, żeby był to Jan Kowalski, który mieszka piętro wyżej i mówi wszystkim „dzień dobry”, wynosi śmieci, nie bije żony, a w poniedziałek lubi obejrzeć Teatr Telewizji - jako takie dodatkowe zboczenie...

JT i DB: Ale w czwartek *Kobrę*?

RC: W czwartek oczywiście *Kobrę*, ewentualnie *Kojaka* lub *Porucznika Columbo*.

JT i DB: No i właśnie tęsknimy chyba za tymi tekstami kultury, ich estetyką, muzyką, dowcipem! Bo czy tym, co jest najbardziej peerelowskie w książkach Ryszarda Ćwirleja nie jest przypadkiem poczucie humoru, takie jak np.

w 07 zgłoś się, wpisujące całą opowieść w pewną ironiczną ramę, która uwodzi nawet czytelnika nieznającego tamtych czasów? Za nim tęsknią często użytkownicy w różnym wieku.

RC: Jest w tym wiele racji. W końcu mówiło się o PRL-u jako najweselszym baraku w socjalistycznym obozie. I faktycznie typowe dla nas było to, że z opresyjną rzeczywistością radziliśmy sobie żartem, dowcipem, drwiną. Ja także z domu, z ulicy, z otoczenia, w którym się obracałem, wyniosłem taki sposób patrzenia na rzeczywistość, postrzegania jej w krzywym zwierciadle, ironiczny sposób komentowania, co staram się przenosić na książki, bo to jest też mój sposób bycia.

JT i DB: Mamy także pytanie dotyczące sposobu myślenia o powieściach kryminalnych. Często mówi się bowiem, że aby skonstruować spójny świat, a w kryminale musi on być szczególnie spójny, nie trzeba prowadzić bardzo drobiazgowych badań na temat historii, kontekstu społecznego itd. Innymi słowy, nie trzeba rekonstruować architektury średniowiecznego opactwa, a wystarczy znaleźć kilka kluczowych dla danej konwencji elementów rzeczywistości. Weźmy dla przykładu western, w którym oprócz kowboja i konia, musi jeszcze znaleźć się kaktus i biegacz pustynny toczący się po prerii, albo *science fiction*, gdzie powinny znaleźć się statek kosmiczny i robot, a Mars może być zamieszkały lub niezamieszkały, ale jego piasek musi być czerwony. I to w zupełności wystarczy do rozpoznania konwencji. A zatem pytanie o kryminał neomilicyjny, o ile oczywiście nie jest to sekret kuchni pisarskiej, co w nim musi się znaleźć, żebyśmy od razu bezbłędnie mogli pojąć, że znajdujemy się w PRL-u? Czy jest to wtrącający się do śledztwa sekretarz partii, czy może wścibski kolega z wydziału wewnętrznego...?

RC: To fakt, rzeczywistość literacką kreują obrazy i stereotypy. W przypadku PRL-u jest to bez wątpienia butelka stojąca na biurku w urzędzie. Butelka wódki oczywiście. Ciastko podawane przez panią Marylkę i celebrowanie imienin w pracy, w sekretariacie komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej. To są obrazy kanoniczne. Ja oczywiście w swoich powieściach przesadam z tym lejącym się alkoholem, ale nie do końca. Moi bohaterowie robią to momentami może zbyt namiętnie i zbyt nachalnie, mówię o piciu w pracy, ale PRL to był ten czas, gdy alkohol lał się strumieniami, kiedy wszyscy ci ludzie, którzy przychodzili do pracy, zanim zaczynali pracować, wcale nie byli zdziwieni, gdy od kolegi przy biurku obok nie można było wydobyć żadnego składnego zdania, bo kolega akurat wziął sobie klina po poprzednim dniu, a teraz miał jeszcze w szufladzie flaszkę i sobie popijał. Taka była też Milicja Obywatelska, a milicjanci pili dużo więcej, bo mieli problem z tym, co można nazwać wykluczeniem społecznym, wszak byli oni grupą w oblężonej twierdzy. Nie byli akceptowani społecznie. Wydawało im się, że robią dobrą robotę, eliminując kryminalistów, ale czuli też, że są postrzegani jako część aparatu opresji. Społeczny obraz

Milicji Obywatelskiej kształtowały dwie grupy funkcjonujące w aparacie władzy: ZOMO i SB. Obie zajmowały się nie utrzymywaniem porządku na ulicach, ale podtrzymywaniem siłą ustroju socjalistycznego. Za ich sprawą odium spadało na całą milicję, sprawiając, że jej obraz był zły i przez cały PRL nie można sobie z nim było poradzić, mimo że tworzono komiksy, historie *Ewa wzywa o7*, mimo porucznika Borewicza i kapitana Sowy. Bo oglądało się w telewizji Borewicza, myśląc, jaki to fajny gość, a chwilę później można było dostać na ulicy pałą po dupie od nefajnego chorążego Jasińskiego... Ludzie, którzy wykonywali w tej instytucji robotę czysto policyjną, czuli się po prostu źle, wiedząc doskonale, że społeczeństwo postrzega ich jako niedobrych sługusów władzy. I stąd ten problem alkoholowy. Pewnie odeszliśmy od prostego obrazu butelki i milicjanta, ale myślę, że jest to właśnie to, co przemawia do wyobraźni, sprawiając, że wystarczy pokazać człowieka w mundurze siedzącego nad butelką w urzędzie, by wszyscy wiedzieli: tak, jesteście w PRL-u. To jest komisariat Milicji Obywatelskiej.

JT i DB: Odeszliśmy od obrazu z butelką, ale doszliśmy do tego, co również jest istotnym składnikiem tych powieści, a mianowicie niemej lub niewyartykułowanej obecności „towarzyszy z bezpieczeństwa” w biurze lub zomowców na ulicy. I to prowadzi nas do pytania o odbiór powieści neomilicyjnej. Czy zdarzają się w jej przypadku reakcje skrajne, np. głoszące, że jest to gloryfikacja systemu opresji w państwie komunistycznym albo – przeciwnie – że obraz milicji jest w nich niesprawiedliwy i krzywdzący dla funkcjonariuszy?

RC: Powiem szczerze, że w kwestii realizmu przedstawiania pracy milicyjnej, to ci którzy czytają moje powieści – mam na myśli dawnych milicjantów – są zwykle tak bardzo uradowani tym, że ktoś pisząc o ich pracy, mówi o nich nie jak o bandytach, lecz o zwykłych ludziach wykonujących policyjną robotę, że z tej strony nie mam żadnych uwag negatywnych, twierdzących, że gdzieś tam przesadziłem, nawet jeśli chodzi o ten alkohol. Choć sam się przyznaję, że w swoich powieściach trochę przejawiam styl życia moich bohaterów. Ale też to, co piszę, to w pewnej mierze pastisz i taka jest specyfika tego sposobu opowiadania. Nie mam natomiast odzewu ze strony SB. Nikt z nich nie zaproponował mi dotąd współpracy... Nie udało mi się też dotąd wykreować żadnego pozytywnego esbeka, bo przedstawiam ich głównie w opozycji do zwykłych milicjantów i potrzebuję ich jako takich „złych gości” w tym środowisku. Taka jest po prostu rola twórcy kryminału. I nic nowego tu nie wymyślam, bo amerykański „czarny kryminał” także pokazuje różne siły, które w aparacie policyjnym ścierają się w walce o wpływy. Staram się po prostu w swoich książkach pisać o zwykłych milicjantach – mądrzejszych, głupszych, ale „zwyklakach” i „prawdziwkach”, którzy radzą sobie z rzeczywistością tak, jak umieją.

JT i DB: A czy odzywała się druga strona sporu – cinkciarze lub malwersanci? Lub czytelnicy oburzeni tym, że w ogóle wracamy do PRL-u?

RC: Nie, nie miałem dotąd czytelników oburzonych. Nigdy się nie spotkałem z taką reakcją, ale być może ci, którzy oburzają się na sam PRL, w ogóle nie wezmą do ręki takiej książki. A przecież jestem obecny w mediach społecznościowych, mam profil na Facebooku i ludzie piszą do mnie, mając pretensje o różne rzeczy, ale akurat nie o to, że mitologizuję państwo socjalistyczne i staram się postawić na piedestale oprawców i przestępców, bo tak nie jest, choć oczywiście każdy ma prawo do własnego odbioru moich powieści. Nie spotykam się więc z objawami niechęci i hejtu związanymi z minioną epoką, choć pojawia się ich całkiem sporo, gdy wypowiadam się publicznie na temat współczesnej sytuacji w Polsce i słyszę, że nie jestem prawdziwym Polakiem lub nie jestem godny tego, żeby żyć w Poznaniu.

JT i DB: Ale ci hejterzy nie używają wówczas argumentu: „I na dodatek pisze o PRL-u!”?

RC: Ależ skąd, oni zwykle nie wiedzą, że ja piszę o PRL-u, albo że w ogóle piszę. Mam też wrażenie, że rzadko czytają.

JT i DB: A po jakie tematy sięga autor utworów neomilicyjnych, gdy chce uciec od PRL-u i jego problemów? Porozmawiajmy może o sukcesie ostatniej książki, *Niebiańskie osiedle* – nie należącej do cyklu o milicjantach, lecz rozgrywającej się tu i teraz, we współczesnej Polsce z jej problemami i konfliktami politycznymi.

RC: To jest książka raczej młodzieżowa, trochę może taki *Pan Samochodzik*... Chciałem po prostu napisać lżejszy kryminał, powieść, która będzie też dotyczyć kwestii społecznych, bo nie da się pisać współczesnej powieści, nie dostrzegając tego, co się dzieje wokół nas. Moi bohaterowie nie mogą być ludźmi pustymi światopoglądowo, nie mogą nie mieć poglądów politycznych, bo taka książka byłaby po prostu głupia. Moi bohaterowie peerelowscy odnoszą się do PRL-u i mają na jego temat jakieś poglądy, a nikt mi nie zarzuca, że w odniesieniu do PRL-u jestem pisarzem politycznym. I jeśli mój przedwojenny komisarz Fischer nie lubi Piłsudskiego i bliżej mu pewnie do endecji, to nikt wówczas nie mówi, że używam w powieści argumentów politycznych, stając po jednej czy drugiej stronie wojny politycznej, która była w latach 20. XX w. bardzo ostra. Kiedy zaś opowiadam o tym, że w 2015 r. dochodzi do nalotu policjantów, którzy przychodzą z klucza partyjnego do komend wojewódzkich w całej Polsce i tak się dzieje w Poznaniu, to ustawiam się po stronie konfliktu politycznego. Kiedy jednak mówię o tym samym procesie, który ma miejsce w 1926 r., to jestem „pilnym obserwatorem zmian historycznych, jakie wówczas zachodziły”. A więc: czy jestem politycznie uzależniony od Piłsudskiego, czy jestem jego krytykiem? Czy dziś jestem zatem krytykiem PiS-u, czy może „pilnym obserwatorem zmian, jakie obecnie zachodzą”? Zawsze uważam przede wszystkim, że bohaterowie kryminału, który rozgrywa się w jakiejś konkretnej rzeczywi-

stości, nie mogą być idiotami, nie mogą przecież rozmawiać tylko i wyłącznie o przysłowiowej „dupie Maryni”, opowiadać w kółko o tym, co lubią jeść i pić; ale tak jak wszyscy Polacy lubią się odnosić do rzeczywistości politycznej, tak i moi bohaterowie muszą to robić. I po prostu to robią. Moja najnowsza książka to opowieść o tym, co się dzieje w naszym kraju i jak rzeczywistość, która się u nas tworzy, można wykorzystać do tego, żeby w niebanalny sposób podejść do przestępstwa, którego jeszcze nikt nie wymyślił, a które – jak sądzę – wymyśliłem ja.

JT i DB: Czy jest jakiś temat, którego Ryszard Ćwirlej – pisarz się boi lub którego woli nie ruszać?

RĆ: Jestem awanturnikiem z urodzenia i człowiekiem, który lubi się awanturować, nie po to jednak, żeby wywołać konflikt, ale żeby powiedzieć głośno, że coś mu się nie podoba. Szczególnie, gdy trzeba wskazywać absurdy działań tych, którzy uważają, że mają monopol na wiedzę. Dlatego też mój Facebook podzielony jest na dwie części: tę, która nazywa się „Ryszard Ćwirlej – pisarz” i to jest ta część, gdzie nie zabieram głosu w kwestiach politycznych – tam są tylko moje powieści. Jest też konto na Facebooku, które nazywa się „Ryszard Ćwirlej” – i to jestem ja. Tam często odnoszę się do rzeczywistości, która mnie irytuje czy wkurza, a w której muszę, niestety, żyć. Nie ma zatem dla mnie tematów tabu, i właściwie jestem w stanie podjąć każdy temat pod warunkiem, że jest na tyle interesujący, żeby mógł stać się podstawą opowieści.